

Artyści dla Rzeczypospolitej — kultura do lamusa

Po chwilowej euforii rozpętanej akcją „artyści dla Rzeczypospolitej”, przyszedł czas na zadumę. Okazało się bowiem, iż sama Rzeczpospolita niewiele ma do zaoferowania artystom, ba, nawet kulturze jako takiej. Wszystkiemu winne, jak zawsze, pieniądze, a raczej ich brak. A na czym najłatwiej oszczędzać? Rzecz jasna — na kulturze. Wszak, jak słusznie dowiedziono, zjeść człowiek musi, zaś do życia niekoniecznie mu potrzebna strawa duchowa.

Powszechna dostępność do dóbr kultury, lansowana w ubiegłych dekadach, już dziś staje się fikcją. Tylko w ubiegłym roku 58 procent mieszkańców naszego kraju nie by-

ło ani razu w kinie, zaś 42 — uważało książkę za zbędny balast. Ba, 36 kg papieru na głowę dawało nam ostatnie miejsce w Europie. I tak na dobrą sprawę, poza środowiskami twórczymi, nikt się chyba zbyt nie przejmuje.

W wywiadzie udzielonym „Życiu Warszawy” (I.VIII) wiceminister kultury Michał Jagiello wyłożył niejako całą filozofię podejścia do tych spraw nowych ludzi w resorcie: „Potrzebna jest nam odpowiedź na pytanie, jakie jest autentyczne zapotrzebowanie społeczeństwa na kulturę. Nikt nie przeprowadził dotychczas badań, czy naprawdę niezbędne nam są 64 teatry, czy wszystkie dawne miasta powiatowe muszą mieć pokazowe muzeum?”

Wniosek nasuwa się oczywisty: stan naszego posiadania w sferze kultury jest stanowczo zbyt wielki (sic!), a więc należy zacząć od jego zmniejszenia. No cóż, można by tylko przypomnieć decydom z resortu Izabelli Cywińskiej, że —

jak dotąd — nikt nie zjął z państwa obowiązku przygotowania społeczeństwa do uczestniczenia w kulturze i dbałości o rozwój potrzeb kulturalnych. Kto zatem, jeśli nie państwo, stanie się najpotężniejszym mecenasem? Trudno bowiem oczekiwać, iż rolę tę przejmą samorządy gminne czy wojewodowie, Tymczasem wygląda na to, że takie właśnie są zamierzenia odgórne.

W lipcu ministerstwo rozesało wojewodom propozycje dotyczące nowego przypisania niektórych instytucji artystycznych i upowszechniania kultury. Wprowadzono trzy poziomy, jak to pięknie nazwano: zarządzania tymi instytucjami. Poziom „narodowy”, bezpośrednio zawiadywany i finansowany przez ministra kultury i sztuki. Poziomem „państwowym” ma zarządzać wojewoda w imieniu ministra. Wreszcie poziom trzeci, do którego notabene wrzucono najwięcej — „samorządowy” czyli komunalny, który ma być utrzymywany z budżetów wojewódzkich i gminnych

Dojamy dla jasności: budżetów subwencjonowanych przez Ministerstwo Finansów, bez wskazania, ile na kulturę, ile na oświatę, budownictwo itd. Jednym słowem oznacza to przejście większości instytucji na głodny, co tu dużo ukrywać, garnuszek samorządów.

Lista sporządzona przez ministerstwo dzieli jednocześnie instytucje na lepsze i gorsze. I można by przy okazji zapytać dlaczego np. teatr kielecki nie znalazł się pod skrzydłami państwa, podczas gdy toruński tej łaski dostąpił? Podobnych pytań jest więcej. Wniosek zaś jeden. Ten mianowicie, że cała ta koncepcja nie została do końca przemyślana.

Kto dokonał tej swoistej kategoryzacji i według jakich kryteriów? Narodowa Rada Kultury fizycznie nie istnieje, choć ustawowo powinna funkcjonować. I tylko głębokim wzruszeniem ramion można potraktować okrzyknięcie jej kongregacją prominentów, którzy polowali na fotele. W rezultacie wychodzi na to, że minister jest w tej mierze osamotniony i nie słyhać, by czynił jakiegokolwiek starania, by odbudować zaplecze doradcze. Nie dostrzega też tej konieczności premier, mimo powołania w międzyczasie dziesiątki ciał doradczych. Jawny dowód na to, iż kulturę traktuje się dziś jak sierotę, która lepiej by nie przeszkadzała, a stała w kącie i poczekała na lepsze czasy.

Minister Cywińska zdaje sobie sprawę, że liczenie na samorządy może być wiarą złudną. Ale jest

optymistką: Jeśli dzisiaj nie rozumiemy potrzeby łożenia na kulturę, rozumiemy ją za lat kilkanaście — powiada. Możliwe. Tylko, jeśli ktoś nie nauczy się czytać dziś, nie będzie umiał też za lat kilkanaście.

— Nie wolno nam dopuścić do tworzenia takiej luki — przestrzega Jan Budkiewicz, szef Federacji ZZ Pracowników Kultury i Sztuki, która nie od dziś toczy boje o miejsce kultury w naszym życiu.

— Na państwie spoczywają określone obowiązki. Nie chodzi o to, by nam państwo nakazywało oglądanie Picassa czy Matejki, ale o to, by umożliwiło ten wybór, poprzez zapewnienie odpowiedniego systemu organizacyjno-finansowego.

Tymczasem w Łodzi, Piotrkowie, Wrocławiu, Sieradzu i gdzie indziej pracownicy kultury są przerażeni. Już dziś okazuje się, że w swych planach samorządy nie widzą możliwości utrzymania instytucji i placówek kultury. Likwiduje się kina i domy kultury, bo na gwałt potrzebne są magazyny i siedziby nowych spółek. To nie tylko troska o własny byt, ale przede wszystkim o odbiorców, a zwłaszcza — dzieci i młodzież. Czyż nie zastanawia fakt, iż przed dwoma laty wśród poborowych 30 procent stanowili wtórni analfabeci? Ilu jest ich dziś? Ilu będzie pojutrze?

A może lepiej nie liczyć? Wszak jak powiadał swego czasu poseł Andrzej Łapicki „wszystko się jako utrząsie”...